

WERONIKA KOSTYRKO

RÓŻA
LUKSEMBURG

DOMEM MOIM JEST CAŁY ŚWIAT

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Weronika Kostyrko-Ziemińska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Dla Jacka

CIAŁO

Kwitnącą gałązkę porzeczki zerwała 10 maja 1913 roku na południowych krańcach Berlina. Kiedy gałązka już wyschła między kartami książki, wkleiła ją do zeszytu w szaroniebieskiej okładce. Obok gałązki napisała: „Porzeczka czarna (*Ribes nigrum*). Kwitnie na czerwono, zielone liście pachną mocno i cierpko”. Ta pierwsza strona zielnika jest poplamiona klejem, a opis pokreślony – Róża wahała się i na koniec zrobiła błąd, bo porzeczka czarna nie kwitnie na czerwono. Musiała to być *Ribes sanguineum*, porzeczka krwista.

Okładkę podpisała: „Zeszyt I. 10–15 maja 1913”. Takich zielników zrobi w sumie 17, opisz w nich 370 roślin. Przed wojną i więzieniem zbierała je w lasach, na łąkach i podwórkach, a kiedy nie mogła już tego robić, prosiła przyjaciół o bukiety polnych kwiatów. Przy każdej roślinie notowała datę i miejsce znalezienia, czasami także kto ją znalazł: „panna Jacob z Weimaru, z grobu pani von Stein”. Kilka razy dorysowała piórem ukruszoną gałązkę lub listek.

Na okładce zeszytu numer XI napisze: „2 kwietnia – 15 maja 1915, Barnimstrasse, cela numer 219”.

Na zeszycie numer XIV: „12 lipca – 2 września 1918, więzienie Breslau”.

Na zeszycie numer XVII: „Więzienie Breslau, 13 października 1918 – ”.

Ostatnią roślinę – *Verbascum lychnitis*, czyli dziewannę firletkową – wkleiła do zielnika 15 października 1918 roku. Trzy miesiące później została zamordowana. Nie przez więziennych oprawców czy agentów carskiej ochrony ani przez tajną pruską policję,

która śledziła ją przez dwadzieścia lat. W listopadzie 1918 roku socjalistyczna rewolucja obaliła cesarza Wilhelma II i ustanowiła w Niemczech republikę. Oficerowie tej republiki uwięzili Różę Luksemburg w berlińskim hotelu Eden, a potem tłukli ją kolbą karabinu i dobili strzałem w głowę. Jej ciało wywieźli samochodem do parku Tiergarten i pod osłoną nocy wrzucili do Kanału Piechoty – Landwehrkanal.

Po czterech miesiącach, 31 maja 1919 roku poranny patrol policji znalazł w kanale na skraju Tiergarten kobiece ciało. Poddano je obdukcji w szpitalu wojskowym. Ponieważ Róża Luksemburg nie miała w Berlinie rodziny, zawiadomiono jej asystentkę. Mathilde Jacob nie odważyła się spojrzeć na wyłowione z kanału zwłoki, rozpoznała tylko naszyjnik. 13 czerwca 1919 roku trumnę z ciałem odprowadzono w wielotysięcznym pochodzie na berliński cmentarz bezdomnych, skazańców i socjalistów w dzielnicy Friedrichsfelde.

24 czerwca 2009 roku profesor Michael Tsokos otworzył zielnik Róży Luksemburg. Dyrektor berlińskiego Instytutu Medycyny Sądowej przez wiele godzin w warszawskim Archiwum Akt Nowych przegądał ostrożnie kartkę po kartce, zeszyt po zeszytcie. Szukał włosa.

Nieco wcześniej w piwnicach berlińskiej kliniki Charité odnaleziono zmumifikowane kobiece ciało. Pozbawione głowy, dłoni i stóp, leżało w nieotwieranej od dziesięcioleci skrzyni; nie było przy nim żadnej kartki, sygnatury czy opisu. Patolodzy stwierdzili, że wydobyto je kilkadziesiąt lat wcześniej z wody. Musiało w niej leżeć kilka miesięcy.

W laboratorium im. Leibniza na uniwersytecie w Kilonii przebadano je teraz metodą izotopową. Badania zawartości izotopu węgla ^{14}C potwierdziły, że kobieta zmarła w drugiej dekadzie XX wieku. Podczas obdukcji ustalono, że miała od czterdziestu do pięćdziesięciu lat, około 150 centymetrów wzrostu

i jedną nogę dłuższą. Musiała wyraźnie kuleć – tak jak Róża Luksemburg.

Przed przyjazdem do Warszawy profesor Tsokos powiedział tygodnikowi „Die Zeit”, że ciało pochowane w czerwcu 1919 roku nie mogło należeć do Róży Luksemburg. Że przestudiował nie tylko dawne raporty z sekcji zwłok, ale także szczegółowe zeznania zabójców, sądzonych (choć nie skazanych) w Republice Weimarskiej. Podczas tamtej obdukcji nie stwierdzono ani ran postrzałowych czaszki, ani różnicy w długości nóg.

Czy to możliwe, że u narodzin demokratycznej republiki ktoś dokonał tak drastycznej mistyfikacji? Po co miałyby to zrobić? „Potrafię sobie wyobrazić – odpowiada na to pytanie profesor Tsokos – że ówczesne władze wojskowe chciały jak najprędzej zamknąć tę sprawę. Może celowo przywieziono na obdukcję inną topielicę, by pochować ją jako Różę Luksemburg. Kiedy potem znaleziono właściwe zwłoki, przewieziono je po cichu do zakładu medycyny sądowej i już tam zostały”.

Lekarze kliniki Charité zbadali DNA odnalezionej w piwnicach kobiety, ale nie mieli z czym go porównać. Spośród krewnych Róży Luksemburg żyły w roku 2009 tylko prawnuki i praprawnuki jej braci. Niektórzy chcieli pomóc, ale do badań genetycznych to zbyt dalekie pokrewieństwo. Profesor Tsokos przebadął znaczki na wysłanych przez Różę listach, były jednak zwilżane wodą, nie śliną.

A może gdzieś zachowały się jej włosy? Dobrze byłoby znaleźć szal albo kapelusz – rozmyślał Tsokos. Wtedy jeden z niemieckich historyków opowiedział mu o osiemnastu zielnikach w warszawskim Archiwum Akt Nowych. Tsokos musiał pokonać niemałe trudności, bo zielniki Róży Luksemburg nie były nawet ujęte w katalogach AAN (archiwiści twierdzili podobno, że o ich istnieniu „dowiadują się dopiero teraz”). Tsokos nie ustąpił, udzielił jeszcze kilku wywiadów. Jego podróż do Warszawy opisały najważniejsze niemieckie gazety. Ale włosy Róży nie znalazł.

Dziennikarze „Die Zeit” próbowali dowieść, czy można zbliżyć się do prawdy, powtórnie badając ciało pochowane w czerwcu 1919 roku na Friedrichsfelde. To miejsce już w Republice Weimarskiej stało się celem świeckich pielgrzymek komunistycznej lewicy. Przywódcy NRD próbowali nawiązać do tej tradycji, organizując marsze ku czci Trzech L: Lenina, Luksemburg, Liebknechta. Z Różą mieli jednak problem: powielali masowo jej portrety, ale nie drukowali jej najważniejszych pism.

Dopiero w 1974 roku wydano w NRD ocenioną wersję eseju *O rewolucji rosyjskiej*, w którym Luksemburg pisała: „Wolność tylko dla zwolenników rządu, tylko dla członków partii – choćby ich było bardzo wielu – nie jest wolnością. Wolność jest zawsze wolnością dla myślących inaczej”. 16 stycznia 1977 roku trzech wschodniemieckich opozycjonistów dołączyło do oficjalnego marszu ku czci Trzech L z tym właśnie cytatem wypisanym na transparencie. Zostali za to skazani na kary od roku do osiemnastu miesięcy więzienia.

Pisma zebrane Różą Luksemburg zaczęły się ukazywać dopiero u schyłku NRD. Skromny pierwszy wybór poprzedzono krytycznym wstępem autorstwa Stalina, a tomy szczególnie kłopotliwe wydrukowano w mniejszym nakładzie; w sumie ukazało się ich dotychczas siedem. Jej biografii po niemiecku, angielsku, francusku, hiszpańsku i włosku napisano w ostatnich dwudziestu latach kilkanaście i ciągle powstają nowe. Jej listy, zebrane pod koniec lat osiemdziesiątych w sześciu niemieckich tomach, ukazują się od niedawna w wydaniach angielskich, francuskich i włoskich.

W obszernym eseju na temat tych listów amerykański historyk Timothy Snyder, nim przyznał rację politycznym oponentom Róży, dał wyraz fascynacji jej osobowością i biografią:

Dawno, dawno temu żyła sobie żydowska dama, niemłoda i niewysoka, która trochę kulała i która lubiła śpiewać ptakom. Przez zakratowane okno częstowała sikorki arią

Mozarta, a potem wyczekiwała odpowiedzi, której transkrypcję – i tylko ją, nic więcej – chciała mieć wyrytą na nagrobku. Ta dama spędziła większość czasu pomiędzy rokiem 1915 a 1918, pisząc wspaniałe listy do przyjaciółek, żeby odwrócić ich uwagę od okropieństw wojny światowej, której to wojnie ona sama sprzeciwiała się od początku. Przetłumaczyła też długą powieść z rosyjskiego na niemiecki, czyli ze swego czwartego języka na swój drugi język, lub mówiąc inaczej – z języka swojego pierwszego ukochanego na język ostatniej miłości – pisał Snyder w 2011 roku na łamach amerykańskiego dwutygodnika „The New Republic”. – Choć czasem wspominała w listach towarzyszy cierpiących na polach bitew, na swój więzienny los nie skarżyła się nigdy.

Na podstawie tych listów Brytyjka Kate Evans stworzyła w 2015 roku bestsellerowy komiks *Czerwona Róża*, który w rankingu gazety „The Independent” uznano za „powieść graficzną roku”. W kolejnych latach przetłumaczono go na hiszpański, niemiecki, francuski, portugalski, szwedzki, hebrajski, arabski, turecki, koreański i słoweński, w końcu także na polski. Bo tylko w Polsce trzeba nadal walczyć o jej pamięć.

W każdą rocznicę śmierci Róży na cmentarzu w Friedrichsfelde zbierają się dziesiątki tysięcy ludzi, w roku 2003 było ich nawet 100 tysięcy. Nostalgicy ze Wschodu mieszą się z weteranami studenckiej rewolucji 1968 roku, wśród młodszych wyróżnia się zawsze ubrana na czarno Antifa. Morze czerwonych goździków przykrywa wtedy prosty pomnik, wzniesiony w 1951 roku przez władze NRD. Pierwszy nagrobek Róży Luksemburg hitlerowcy zrównali z ziemią w styczniu 1935 roku.

Może prawda nadal czeka w tym miejscu na odkrycie? „O ile wiem – mówi profesor Tsokos – ten grób już raz otwarto w czasach NRD. Był pusty”.



Tablica pamiątkowa skuta w 2018 roku ze ściany kamienicy przy ulicy Staszica 37 w Zamościu

Skoro polityka nie oszczędziła miejsca jej spoczynku, to może zostawiła w spokoju choć miejsce urodzenia?

Przez pół wieku turyści zwiedzający Zamość zatrzymywali się przed kamienicą przy Staszica 37, na której umieszczono tablicę z napisem: „W tym domu urodziła się Róża Luksemburg, wybitna działaczka międzynarodowego ruchu robotniczego”. Od szpitala do cmentarza biegła ulica Róży Luksemburg, przemianowana po 1989 roku na Peowiaków. Dziś w mieście rodzinnym najśłynniejszej zamościanki nie ma po niej żadnego śladu. Tablicę pamiątkową skuto w nocy z 12 na 13 marca 2018 roku na polecenie ówczesnego wojewody lubelskiego Przemysława Czarnka.

Naprawdę przyszła na świat gdzie indziej, nie na Staszica przy wspaniałym renesansowym rynku, tylko pod murami, w skromnej kamieniczce przy Ogrodowej 45 (dziś Kościuszki 7a). Potwierdzają to jednoznacznie zapisy w księgach wieczystych. Badaczka przeszłości Zamościa Ewa Lorentz opisała w „Archiwariuszu Zamojskim” historię pewnej mistyfikacji:

Szczegółowa kwerenda ksiąg hipotecznych kamienicy przy ul. Staszica 37 nie odnotowała obecności rodziców Róży Luxenburg ani wśród właścicieli, ani wśród mieszkańców tej nieruchomości. Aby wyjaśnić kulisy tej intrygującej sprawy, sięgnęłam do przechowywanych w zamojskim archiwum akt Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu z lat 60-tych XX wieku.

Miejskie Rady Narodowe były w PRL namiastką lokalnych samorządów. Firmowały polityczne decyzje dotyczące obsady stanowisk, koncesji i inwestycji, rozdziału deficytowych dóbr, wizerunku miasta. Warto zwrócić uwagę na ramy czasowe opisanych tu wydarzeń: jak późno postanowiono zatroszczyć się o pamięć rewolucjonistki i jak szybko to zainteresowanie wygasło.

Jak wynika z protokołów posiedzeń Komisji Kultury MRN, pierwsze pomysły upamiętnienia miejsca urodzenia działaczki ruchu robotniczego pojawiły się w 1964 roku podczas przygotowań do obchodów Dni Zamościa. W roku 1965 zaczęto nawet mówić o organizacji muzeum Róży Luksemburg w Zamościu. Z korespondencji między Wydziałem Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie a Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu wynika, że sprawą organizacji muzeum zajął się Zakład Historii Partii przy Komitecie Centralnym PZPR.

Skoro sprawą zajęła się Warszawa, historia wrzuca wyższy bieg:

W styczniu 1966 r. do przewodniczącego MRN w Zamościu Eugeniusza Zgnilca nadeszło pismo od prof. dr. Janusza Durko, zastępcy dyrektora Zakładu Historii Partii KC PZPR, dotyczące przeprowadzonych poszukiwań miejsca urodzenia Róży Luxemburg. Jednoznacznie wskazano w tym piśmie na dom przy ul. Staszica 37, załączając nawet jego fotografię. Zachęcono też władze miasta do sprecyzowania tych ustaleń w księgach ewidencji ludności. Już w lutym 1966 roku sekretarz Prezydium MRN Edward Suchora uroczyście powiadomił Komitet Centralny o uzyskaniu pewności, że miejsce urodzenia Róży Luxemburg to dom przy ulicy Staszica 37, mieszkanie 3-izbowe na I piętrze.

Warszawa wybrała więc kamienicę, ale plany urządzenia muzeum spełzyły na niczym. Tylko tablica zawisła pod wskazanym przez partię adresem. Bo PRL też miał problem z Różą Luksemburg.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wydano po polsku dwa zbiory jej artykułów politycznych i trzy najważniejsze dzieła

ekonomiczne. W kolejnej dekadzie partyjny historyk Aleksander Kochański opublikował krótką biografię, utrzymaną w propagandowym stylu szkolnych czytanek. Nad biografią z prawdziwego zdarzenia pracował przez wiele lat historyk ruchu robotniczego i dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego Feliks Tych, ale tej pracy nie ukończył. Udało mu się wydać odnalezione w Moskwie prywatne listy Róży Luksemburg. I na tym koniec. Właściwie dlaczego?

Jeśli się nad tym zastanowić, Róża Luksemburg jest w Polsce nie do pomyślenia. Bo kim właściwie była? W języku niemieckim istnieje słowo *Querdenker* na określenie ludzi, którzy „myślą w poprzek”. A tu jeszcze kobieta. Żydówka. I, nie daj Boże, komunistka.

Tymczasem Róża Luksemburg nie była ani komunistką, ani socjaldemokratką, tylko rewolucjonistką. Mówiąc ściślej, była dziewnastowieczną socjalistką z carskiej Rosji, która – w odróżnieniu od zachodnioeuropejskich marksistów – rewolucję traktowała serio. W 1905 roku porzuciła wygodny Berlin, żeby w Warszawie zobaczyć na własne oczy robotniczy strajk powszechny. Uwięziono ją przez to w osławionym x Pawilonie Cytadeli. Kiedy jej partyjni towarzysze – Julian Marchlewski czy Feliks Dzierżyński – robili później kariery w bolszewickiej Rosji, ona została w ogarniętych rewolucją Niemczech, wystawiając się na śmierć. Żyła jak świeca, która pali się na obu końcach.

„Pojęcie rewolucjonisty, któremu sens nowoczesny nadała Wielka Rewolucja Francuska, jest bardziej wyznacznikiem postaw niż poglądów. Zakłada ono bunt przeciwko otaczającej rzeczywistości, maksymalizm dążeń, o wiele bardziej czyn, działanie – i to możliwie szybkie, zdecydowane – niż precyzję programową” – pisał o takich jak ona w książce *Piękny wiek XIX* Jerzy W. Borejsza. W odróżnieniu od Lenina czy utopijnych socjalistów francuskich Róża Luksemburg nie projektowała nowego ustroju. Nie żądała przyłączenia Polski do Związku Radzieckiego, choć chcieli tego

później niektórzy jej towarzysze. Ona do końca wierzyła, że robotnicy obalą kapitalizm nie w jednym kraju, tylko na całym świecie. I że ten świat po rewolucji proletariatu urządzi sobie sam.

„Błędy, które popełnia prawdziwy robotniczy ruch rewolucyjny, są historycznie o niebo bardziej owocne i wartościowe niż nieomylność najdoskonalszego Komitetu Centralnego” – pisała już w roku 1904 w polemice z Leninem. Kiedy po rewolucji październikowej on dąwił polityczną opozycję, ona krytykowała radziecką Rosję za brak demokracji i wolności słowa.

Jak wszyscy lewicowi idealisci Róża Luksemburg wierzyła, że człowiek wolny i świadomy wybierze wspólne dobro. Trzeba mu tylko na to pozwolić. Przegrała wszystkie swoje bitwy, ale ostatnie słowa, jakie napisała w życiu – „Byłam. Jestem. Będę” – dotyczyły rewolucji.